Nr. 11. Kraków, Niedziela 12. Marca 1899. **Rok I.**

Wszelkie przesyłki pieniężne i listy adesrować należy do Administracyi pod adresem:
Antoni Stróżyński
Kraków, Krzywa 6. I. p.
Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Adres Redakcyi
Kraków, Rynek główny Nr. 23.

Ogłoszenia
przyjmują się w Administracyi pisma po cenie 5 cnt. za wiersz petitowy.

Numer pojedynczy kosztuje 5 cnt.

ŁĄCZNOŚĆ

dawniej „Grzmot“.

Organ Stronnictwa katolicko-narodowego oraz Związku krajowego katolicko-robotniczych stowarzyszeń.

Wychodzi co tydzień w Niedzielę.

Numera pojedyncze nabywac mozna:
w Krakowie:
w redakcyi pisma od 11—12 rano i od 5—7 wiecz., z wyjątkiem niedziel i świąt, u wydawcy od 9—12 rano; w biurze dzienników Hopcasa i Salomonowej; w Sukiennicach u p. Mańkowskiej i w handlu papieru p. Karlińskiego i we wszystkich księgarniach.

Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.

Biuro Redakcyi otwarte codziennie od godziny 10—12 i od 5—7 wieczór. z wyjątkiem niedziel i świąt.

Prenumerata wynosi:
w Austryi z przesyłką: rocznie 2 złr. 50 cnt., półrocznie 1 złr. 25 cnt., kwartalnie 70 cnt.

Z Bogiem i z Narodem!
Wydawca: *Antoni Stróżyński.*

Prenumerata wynosi:
Za granicami Austro-Węgier: rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr., kwartalnie 1 złr.

Pod adresem „Naprzodu.“

Ledwie stronnictwo katolicko-narodowe zabrało się do pracy na polu społecznem, a już ze wszech stron posypały się jak z rękawa przeróżne uwagi, przestrogi, docinki, a nawet obelgi. Temi ostatniemi najhojniej szafował były korespondent *Dziennika warszawskiego.* Wygodnej tej broni pozazdrościło ks. Stojałowskiemu socyalistyczne pismidło *Naprzód* i także maczać pedzel w smole, a smarować nim po «mizernych kreaturach jezuickich,» po «robotnikach na pokaz,» którzy ośmielają się wznosić w górę sztandar katolicko-narodowy i nieść go przeciw mamidłom socyalistycznym. Smarowano, póki czernidła starczyło. I naraz obaczyliśmy, że wszystko, co nam drogiem jest, zaczyna plamić ta błotnista maź. Myć się i wykazywać, że te plamy, to naleciałość z zewnątrz i że jesteśmy czyści? Może warto, a może i nie. Nic trudniejszego, jak polemizować z pisemkiem o zacięciu humorystycznem. Szpada kłuje, mówi Francuz, śmiech przygniata. Łatwiej domacać się nieścisłości w ciężkich wywodach filozofa lub prawnika, niż sprostować wszystkie linie i nałożyć nowe kolory w nędznej karykaturze, skreślonej nieudolną ręką. A właśnie jesteśmy w tem niewygodnem położeniu. *Naprzód* pozazdrościł humorystycznej sławy i prenumeratorów *Humoryście* i rozpoczyna swą humorystyczną karyerę od skarykaturowania wiecu katolicko-narodowego w Tarnowie. Relacya *Naprzodu* wygląda w niektórych ustępach tak, jak gdyby sprawozdawca znajdował się podczas wiecu w Honolulu lub na księżycu.

Wszystkie prawie dzienniki, że zacytuję tylko *Czas, Głos Narodu, Ruch katolicki,* podały obszerne sprawozdania ze zgromadzenia w Tarnowie, konstatując jednozgodnie fakt, że socyaliści ponieśli na niem haniebną porażkę; jeden *Naprzód* twierdzi śmiało, że laur zwycięstwa odniósł nie kto inny, tylko socyalna demokracya. Nie zazdrościmy redakcyi tego pretensyonalnego przekonania i owszem, życzymy tym panom z całego serca, aby *tego rodzaju* zwycięstw jak najwięcej odnieśli, a da Bóg, za lat parę socyalisty u nas na lekarstwo nie dostanie. Jeśli redaktorów *Naprzodu* bawi takie odnoszenie zwycięstw we śnie, to przyjemności tej nie możemy im odmówić; niech jednak lepiej upozorują rzeczywistość swych fantastycznych zdobyczy, bo ostatnim razem zrobili to wcale niezgrabnie.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej owemu sprawozdaniu. Na samym początku nazwano przewodniczącego wiecu prof. Młynka «kreaturą klerykałów tarnowskich,» robotników «niedorostkami i łykami tarnowskimi,» nie pominięto rozumie się policyi i komisarzy rządowych. Karczemny ten styl jest już tak ściśle zczepiony z *Naprzodem*, że jednego bez drugiego pojąć nie można.

O referacie prof. Czerkawskiego wyraża się z początku sprawozdawca dość przychylnie, wnet jednak, streszczając mowę Dra Marka, oświadcza, że «wywody referenta nie są dla nas nowością, owszem są to nasze własne żądania i postulaty.» Wygląda to trochę tak, jakby prof. Czerkawski czerpał swą umiejętność z krynicy Daszyńskiego i spółki. Jeśli sprawozdawca myśli, że na polu społecznem on sam lub jego towarzysze coś nowego wynaleźli, to im tego z głowy wybijać nie myślimy; możemy ich jednak w każdym razie zapewnić, że nie wynaleźli prochu. Nasze żądania opierają się na odwiecznych zasadach etyki katolickiej, a cały ruch socyalistyczny jest tylko anormalną, niemoralną wybujałością skrzywionych pojęć społecznych i filozoficznych.

W dalszym ciągu twierdzi *Naprzód*, że «gdy ks. Żyguliński zaczął brać w obronę obecny zarząd kasy chorych, spotkał się z silnem zaprzeczeniem ze strony całego zgromadzenia.» Jeśli sprawozdawca uważa parę nieludzkich ryków z tuzina ochrypłych socyalistycznych gardzieli za «silne zaprzeczenie całego zgromadzenia,» to ma zupełną słuszność. My jednak za «całe zgromadzenie» uważamy 2000 uczestników, którzy, z wyjątkiem garstki towarzyszy, bez przerwy obdarzali mówcę frenetycznymi oklaskami.

Sposób, w jaki *Naprzód* wyraża się o p. Stróżyńskim, jest tak podły i niesmaczny, że nadawać się może do kłótni i wyzywań za straganem, ale nie licuje z zasadami partyi, która ma rzekomo nieść światu pochodnię cywilizacyi i rozżarzyć w sercach ludzkich święty ogień braterstwa. A już brzydką jest rzeczą pastwić się nad człowiekiem, którego interwencyi jedynie zawdzięczał dr. Marek, że ze zgromadzenia nie odniósł sińców i guzów jako namacalnych trofeów zwycięstwa.

Streszczając mowę dra Marka pisze dalej sprawozdawca: «Socyalni demokraci nie są przeciwnikami religii, uważają ją za rzecz wzniosłą..., której nie można zniżać do walk codziennych.» No, panie Marek, nie byłoby dla pana rzeczą korzystną wyrazić się w ten sposób o religii na jakimkolwiek międzynarodowym kongresie socyalistycznym. Znalazłbyś się pan wnet za drzwiami. Zaiste trudno przypuścić, by dr. Marek nie znał rozpraw socyalistycznych kongresów erfurtskiego, gotajskiego i innych, w których walka z Kościołem i religią oznaczona jest jako konieczne uzupełnienie walki z kapitalizmem. Trudno przypuszczać, by dr. Marek nie czytał *Vorwärts'u, Arbeiterzeitung* i innych *urzędowych* organów partyi socyalistycznej, które z zjadliwy sposób bezustannie zwalczają wszelkie uczucia religijne. A więc p. Markowi zarzucić wypada albo fałsz i świadome kłamstwo, albo kompletną ignorancyę tego, co się dzieje poza końcem jego nosa dzieje.

«Socyalni demokraci nie osłabiali nigdy uczuć patryotycznych u ludu!» To już szczyt kłamliwości! Czy p. Marek nie przypomina sobie znanego okrzyku; «Na Wawelu leżą prochy waszych tyranów!?» Czy mówca raczył czytać w urzędowych organach partyi wytłumaczenie tezy, że socyalna demokracya jest essencyonalnie *międzynarodową?* Czy p. Marek nie wie, jak wrogie stanowisko zajęli socyaliści niemieccy wobec kwestyi polskiej? A wobec tego czy p. Marek nie słyszał nigdy okrzyku: Cześć ojczyźnie Marksa! Znów zachodzi pytanie: Czy kompletna ignorancya, czy świadomy fałsz? Jedno albo drugie.

«Wkońcu — mówił dr. Marek — jak najgwałtowniej zaprotestować muszę przeciw bezczelności p. Stróżyńskiego, z którą śmie wobec was jako reprezentant robotników krakowskich występować... W imieniu robotników krakowskich tylko ja mam prawo was witać i... czynię to, życząc, byście wrogom ludu otumanić się nie dali i połączyli się z braćmi waszymi pod hasłem socyalnej demokracyi, na której cześć okrzyk wznoszę.»

Cudownie! Maszynista, delegat czternastu stowarzyszeń robotniczych nie może przedstawiać robotników krakowskich, tylko żydowski koncypient adwokacki! Przyszły żydowski adwokat jest reprezentantem robotników, do których nędzy przyczynili się właśnie niemało adwokaci-żydzi! W potocznej mowie elukubracya takowa zowie się bezczelnością.

«Okrzyk ten zgromadzenie powtórzyło z zapałem, darząc mówcę oklaskami.» Prawdą jest, że okrzyk powtarzano, ale *nie ten.* Ledwo dr Marek zaczął mówić, zabrzmiały gromkie okrzyki: Precz z nim! Za drzwi! Wyrzucić go! Przewodniczący przywrócił zaledwo porządek, a okrzyki zabrzmiały ze zdwojoną siłą. Te same okrzyki, ale już gwałtowne, tłumne, groźne, uwieńczyły koniec mowy p. Marka. Gdy dr Marek jęknął żałośnie: W krakowskiej kasie jest tylko jeden żyd! — wnet zagrzmiało głośne: Milczeć! Cicho tam! Szkoda, że dr Marek nie miał przed sobą lustra w chwili, gdy pięści robotników zbliżały się ku jego wielce szanownej osobie! Byłby się widział bladym jak płótno, zmieszanym, drżącym, a nie tryumfatorem z podniesioną głową, jak go przedstawia *Naprzód.* Że z tej przeprawy dr Marek wyszedł cało, to zawdzięcza tylko ks. Żygulińskiemu i p. Stróżyńskiemu.

Twierdzenie, jakoby zgromadzenie odrzuciło rezolucyę postawioną przez prof. Młynka, a uchwaliło rezolucyę wniesioną przez dra Marka, jest fałszem. Socyalistów w sali teatralnej było zaledwie kilkudziesięciu; chociaż więc podczas głosowania obydwoje rąk do góry podnosili, nie mogło być nawet mowy o tem, by swój wniosek przeforsowali.

O mowie adwokata dra Zembatego, zwróconej przeciw socyalistom, a którą zgromadzeni burzliwie oklaskiwali, *Naprzód* nie wspomina nic. Cóż w tem zresztą dziwnego? To nie na jego młyn woda, więc sza!

Z tego krótkiego sprostowania, jakie z powodu artykułu *Naprzodu* umieścić postanowiliśmy, każdy się może przekonać, z jakimi wrogami mamy do czynienia i czy możemy liczyć na to, że zechcą walczyć z nami uczciwą bronią.

Mnożą się dziś szarlatani polityczni, a już typowe ich postacie oglądać można w redakcyi *Naprzodu.* Zera umysłowe, wstępując do partyi socyalistycznej, nabierają wnet rozgłosu przez wściekłe ataki na wszystko, co jeszcze stoi na gruncie katolickim i narodowym; walczą bronią, jaka im wpadnie w ręce, a że najwygodniejsza na razie jest broń *nieuczciwa*, więc tej się najczęściej chwytają. Dowodem ciągłe procesy, ciągłe wyroki zapadające na te typy godne, według wyrażenia samej redakcyi, studyów Lombrosa. Pismaki, którzy chcą okazać się *czemś*, stają się pod względem intelektualnym i moralnym *niczem;* bo, skoro u jakiegoś pisarza suma fałszów równa się sumie śmieszności, byt jego równa się nicości. Że co do sprawozdawcy *Naprzodu* zachodzi ten wypadek, wykazaliśmy powyżej. Ale na to niema rady. Każdy dziś chce zwracać na siebie uwagę, a słusznie powiada Voltaire, na psa tylko wtedy zwraca się uwagę, gdy szczeka. Nie robię tu żadnego ścisłego porównania, broń Boże, ale pewna analogia jest aż nadto widoczna.

W końcu pod adresem sprawozdawcy z wiecu tarnowskiego i jemu podobnych ośmielam się przedstawić dwie prośby do

łaskawego uwzględnienia: 1) By sprawozdawca nie nazywał wycia «Czerwonego sztandaru» śpiewem, gdyż czerwony sztandar z poezyą, muzyką i estetyką niema nic wspólnego. 2) By szanowny sprawozdawca przyjął do łaskawej wiadomości, że nastręczanie komuś najbliższej okazyi do obrażania czci bliźnich i rzucania obelg, podlega karze sądowej. A właśnie wielce szanowny p. sprawozdawca przymusza formalnie do ubliżania jego osobistej czci i honorowi. Iluż widziałem ludzi, którzy przeczytawszy parę wierszy jego sprawozdania, rzucali *Naprzód* w piec, wołając: «A to idjota!» «Bezczelny kłamca!» «Cymbał!» Gdyby przyszło do wytoczenia skargi tym wszystkim osobom, dziennik podawczy w sądzie miałby ze dwie godziny roboty ze samem przybijaniem stampili. *Józef Anatol Mosch.*

Kilka słów o udziale w zyskach przedsiębiorstwa.

Punkt drugi naszego programu robotniczego brzmi: *Żądamy zapewnienia robotnikowi obok stałej płacy pewnego udziału w zyskach przedsiębiorstwa.* Punkt ten wywołał ze strony niektórych czytelników «Łączności» szereg uwag i interpelacyj, a nawet ostrą krytykę. Uważając to zainteresowanie się ze strony publiczności za objaw dodatni, chętnie przyjmujemy dyskusyę, która, jeżeli jest prowadzona z dobrą wiarą, przyczynić się może do wyjaśnienia samej kwestyi, a także i do bliższego określenia naszego stanowiska.

Stawiane nam zarzuty są następujące:

Mówią nam przedewszystkiem: «powstajecie przeciw socyalistom, a sami nimi jesteście. Chcecie z nimi walczyć; w gruncie rzeczy ubiegacie się o popularność i przelicytowujecie się z nimi w stawianiu coraz to dalej sięgających żądań — byleby tylko chętny znaleźć posłuch u robotników.»

Można ten zarzut ująć ze strony teoretycznej, to zn. zrozumieć go w ten sposób, że akcya podjęta przez nasze stronnictwo, ze względu na punkt wymieniony, układa się w ramki doktryny socyalistycznej. Wtedy zarzut ten jest bezpodstawny dlatego, że za socyalistyczne poczytane być może tylko takie żądanie, które zdąża do zupełnej zmiany dzisiejszej organizacyi i do uspołecznienia środków produkcyi. My ani tego chcemy, ani do tego nie dążymy. Pozostawiając produkcyę w dotychczasowej formie, domagamy się jedynie takiej jej zmiany, ażeby zyski, otrzymane z przedsiębiorstwa, mogły wzbogacić **oba** czynniki, w tem przedsiębiorstwie udział biorące, **robotnika i przedsiębiorcę** — a nie wychodziły, tak jak to jest dzisiaj, na korzyść tylko przedsiębiorcy. Punkt ten jest sprzeczny z doktryną socyalizmu.

Ale można to wziąć i za zarzut bardziej osobisty — i jako taki bardziej delikatnej natury. Chodzić tu może wogóle o rolę tak zwanej *inteligencyi* i o popieranie przez nią interesów robotniczych. Zarzut ten staje się wtedy złośliwą insynuacyą, gdyż przypuszcza, że bez wewnętrznego przekonania o słuszności lub o ziszczalności stawianych żądań, broni się ich we własnym, osobistym interesie. Miejmy odwagę, z czystem sumieniem, odpowiedzieć na taki zarzut wzruszeniem ramion, zaznaczając tylko po drodze, pod adresem niewtajemniczonych, że nie «inteligencya» szła między robotników, aby wśród nich szukać sobie stronników, ale że sami katoliccy robotnicy i rzemieślnicy zwrócili się do tej inteligencyi z wezwaniem, ażeby ta, o ile uznaje potrzebę i słuszność reform, zdążających do poprawy doli klas pracujących — oddała swe siły materyalne i duchowe na usługi tej dobrej sprawy.

Ztąd też wynika, że jeżeli nam kto za złe bierze, że myślimy o polepszeniu bytu pracowników, przyjmujemy to «piętno» bez wahania. Przedewszystkiem *nie sam tylko dobrobyt* materyalny mamy na oku — gdyż postawiliśmy jednocześnie cały szereg innych żądań w kwestyach religijnych, narodowych i edukacyjnych. A dalej i w naszem dążeniu do poprawy losu robotników — trzeba jeszcze się przyjrzeć, jak my sobie ten dobrobyt wystawiamy.

Nie chodzi nam o zniwelowanie wszystkich obywateli kraju pod jedną miarę, ale o to, ażeby dochody i wydatki każdego z nich dały się utrzymać w pewnych granicach normalnych przyzwoitego bytu. Dążymy więc:

1. *Do zmniejszenia rubryki wydatków*, kosztów mieszkania (domy robotnicze), utrzymania (spółki spożywcze), kredytu (kasy pożyczkowe), leczenia i pogrzebu (kasy chorych i pogrzebowe) i t. d.

2. *Do zwiększenia rubryki dochodów* przez zapewnienie robotnikowi oprócz stałej płacy, zdolnej opędzić rodzinne a niezbędne jego potrzeby — jeszcze pewnego wynagrodzenia *zmiennego*. Stanowiłoby ono w formie udziału w zysku pewien dodatek nieprzewidziany, nieobliczalny naprzód, a tem samem przeznaczony albo na zaspokojenie innych potrzeb robotnika, alboteż na utworzenie kapitału, który w przyszłości służyłby za punkt oparcia w walce o egzystencyę.

3. *Do rozwinięcia u najuboższych zmysłu praktycznego* i nauczenia ich sztuki zarządzania swoimi dochodami i zasobami, tak ażeby im myśl o jutrze, a nietylko o dniu dzisiejszym przyświecała. Tu znajdują miejsce wszystkie instytucye oszczędnościowe, ubezpieczenia wszelkiej formy i t. d.

Te trzy strony gospodarki muszą być jednocześnie uwzględnione. Mówić o stowarzyszeniach i oszczędnościach robotnikom, którzy ledwo koniec z końcem związać, zakrawa na bolesną ironię. Bez zmysłu praktycznego i najwyższy dochód nic nie pomoże. Bez zniżenia kosztów niezbędnych wydatków niema co mówić o ludzkiej egzystencyi robotnika. Bez zapewnienia mu pewnego dodatku na potrzeby nieprzewidziane trudno jest myśleć o jego *dobrobycie*. Postulat nasz drugi łączy się organicznie i logicznie z całą naszą akcyą. *Dążyć do tego tylko, ażeby robotnik nie marł z głodu — to i dla nas — i dla społeczeństwa, zaprawdę za mało. My musimy dążyć do tego, ażeby robotnik oszczędny i pracowity — był w stanie, bez jałmużny od państwa czy od społeczeństwa, własną swą uczciwą pracą wytworzyć sobie byt przyzwoity.*

Tu jednak czeka na nas nowy zarzut, który kwestyonuje moralną podstawę naszego żądania. «Wielka sztuka! — mówią nam — chcieć wzbogacić robotnika cudzym kosztem — kosztem przedsiębiorcy!» Ale i tego zarzutu nie możemy brać na seryo. Oponenci nasi zapominają nam udowodnić, że *cały* zysk z przedsiębiorstwa *jest i powinien być* własnością przedsiębiorcy — a «*cudzą własnością*» dla robotnika. Nie zdają sobie oni sprawy z tego, że, po odciągnięciu z czystego zysku wszystkich możliwych pozycyj na oprocentowanie kapitału, na uczczenie inteligencyi, pracy, sprytu samego przedsiębiorcy, ba, nawet na wynagrodzenie «ogromnych zasług» akcynaryuszów, może pozostać pewna nadwyżka, której przyczyny należy nieraz szukać *po za osobistością przedsiębiorcy* i że ten właśnie zysk — przewidziany albo i nieprzewidziany, zamierzony albo spadający z nieba jak los na loteryi — nie należy ani do przedsiębiorcy ani do robotnika — ale właśnie dlatego, że jest zyskiem z *przedsiębiorstwa* — winien przypaść choć w części w udziale *robotnikom*, jako tym, co się do osiągnięcia jego niewątpliwie przyczynili.

Inne głosy uznają moralną podstawę naszego żądania, ale zwracają uwagę na trudności jego urzeczywistnienia. Pismo nasze umieści wkrótce specyalny artykuł, oparty na danych, zaczerpniętych z krajów, gdzie faktycznie zasada ta w licznych wypadkach bardzo skutecznie przeprowadzoną została.

Ostatni wreszcie zarzut dotyczy naszych *krajowych* stosunków: «Zagranicą, mówią, robotnik jest mądrzejszy, bardziej przewidujący. U nas woli o guldena zarobić więcej na tydzień, byle go mieć zaraz, niż czekać na 100 guldenów po końcu roku.» Zarzut ten nie wzrusza nas dlatego, że nigdyśmy nie myśleli o «*narzuceniu*» udziału w zyskach jako normy obowiązującej i robotnika i przedsiębiorcę — pozostawiamy tę kwestyę ich zobopólnemu porozumieniu się, w myśl punktu pierwszego naszego programu. Zdaniem naszem *słuszniejszą* jest umowa o pracę, oparta na dwojakiej formie wynagrodzenia: jednej — stałej, drugiej — zmiennej. Ale tam, gdzie sami zainteresowani wyjątkowo wolą formę stałego wynagrodzenia, tam autonomią ich najzupełniej uznajemy.

M. Rostworowski.

Opieka nad zdrowiem.

IV.

Jeżeli rzucimy okiem na masy śniegu, pokrywające naszą ziemię, na strugi wody płynące po deszczu ściekami, na tę bogatą sieć rzek, która naszą ziemię zrasza, na stawy wreszcie i jeziora, to mimowoli pomyśleć musimy, że wody nam już chyba opatrzność nie pożałowała. A gdy siedzimy zamknięci w mieszkaniu przez dnie i tygodnie z powodu deszczu ulewnego, to wprost przeklinamy tę przesadną hojność natury. Jednak mamy widać tej wody za mało, kiedy narody, miasta i miasteczka wydają duże sumy pieniędzy na to, aby zaopatrzyć się w dobrą, czystą wodę, sprowadzają takową rurami z wielkim kosztem i mozołem z odległości nieraz kilkudziesięciu kilometrów (Wiedeń np. około 97 kilometrów) wydobywają ją z głębi ziemi, kopiąc studnie, lub zakładają kosztowne filtry, oczyszczające wodę rzek sąsiednich i czyniące ją zdatną do codziennego użytku.

Nic w tem dziwnego: «kto się na gorącem sparzy, ten i na zimne dmucha», tak też i ludzie doznawszy wielu przykrości i nieszczęść z powodu używania niezdrowej wody, bardzo być powinni wybredni i ostrożni na tym punkcie. Roześmieje się może niejeden i zapyta, co też takiego ta biedna woda mogła ludzkości zawinić.

Nie chcąc Was nudzić kochani czytelnicy ogólnikami, wolę przytoczyć przykłady gdzie woda, ta niewinna napozór szklanka wody stała się przyczyną wielu nieszczęść. Ot np. w Hamburgu, podczas epidemii ostatniej cholery.

Hamburg i Altona, są to dwa miasta sąsiednie, tak, że ich ulice schodzą się ze sobą. Oba leżą po jednym brzegu Elby, jedno wyżej a drugie niżej jej biegu.

Otóż w Hamburgu marli ludzie tysiącami na cholerę a w Altonie zdarzyło się tylko kilka przypadków tej choroby.

Pokazało się, że przyczyna złego leżała w używaniu złej wody.

Altona zaopatrzona w dobrą wodę patrzyła spokojnie na klęski sąsiadów, a pokazało się, że ci kilku z jej obywateli, co zapadli na cholerę, używali wody z wodociągów Hamburgskich. Nie szukając takich odległych od nas przykładów, o których dopiero dzienniki nam donoszą, można wskazać bliższe.

W Krakowie zapadło w zeszłym roku w pewnej kamienicy 6 czy 7 osób na tyfus brzuszny i to osób nie stykających się zupełnie ze sobą. Po zamknięciu i następnie dokładnem wyczyszczeniu studni, choroba wygasła.

Wobec ogromnego znaczenia, jakie ma woda w codziennem życiu naszem, warto się zastanowić bodaj pobieżnie nad tem, skąd się woda na ziemi bierze, jakimi drogami do nas się dostaje, do czego nam służy i jaką ma być, aby swoje cele dobrze spełniała.

Mówi się ciągle, to o wodzie rzecznej, to o wodzie źródlanej to o deszczowej, ale przyroda dostarcza nam właściwie tylko w jeden sposób wody. Spada nam ona z powietrza, jak manna żydom, wszystkie rzeki, źródła, studnie, stawy i jeziora mają początek swój w opadach tj. deszczach i śniegach.

Jestto gospodarka natury, która obraca wciąż swoim kapitałem wodnym, każąc mu parować, wznosić się w postaci chmur, a potem znowu spadać na ziemię.

Woda opadowa ulega na naszej ziemi różnym losom: przechodzi przez różne przygotowania, zanim się dostanie w nasze ręce i dlatego rozróżniamy tyle gatunków wód. Przejdźmy je pokrótce.

Woda opadowa, czyli nasza zwykła, deszczówka, jestto woda chwytana wprost z opadów do większych i mniejszych zbiorników. Gospodynie bardzo ją sobie chwalą i cenią, jako wodę miękką, dobrą do prania i mycia, zużywającą mało mydła. Smak nasz jest już wybredniejszy, i wody deszczowej używają do picia ludzie tylko tam, gdzie jest bezwzględny brak innej.

Woda opadowa nie jest wprawdzie w sta-

nie świeżym dla zdrowia szkodliwą, ma jednak smak mdły (jest za miękka) i bywa zwykle zanieczyszczona.

Jeśli woda deszczowa spadnie na ziemię, to wsiąka w takową i przesącza się w coraz głębsze jej warstwy. Przechodząc przez pokłady ziemne, przez gliny, grube żwiry i cieniutki piasek, oczyszcza się zupełnie, a natrafiwszy na warstwę ziemi nieprzepuszczalną zatrzymuje się na niej, tworząc jużto istne potoki płynące w różnych kierunkach, już też większe zbiorniki.

Jeśli woda taka, którą nazywać będziemy *gruntową*, płynie z miejsca wyższego ku niższemu w głębi ziemi, a natrafi na naturalny otwór, to wytryska jako *źródło*, jeśli zaś wydobędziemy ją na wierzch sztucznie dokopując się w ziemi aż do warstwy wodnej, to powstaje *studnia*, która jest niczem innem, jak tylko sztucznie wytworzonem źródłem.

Źródła zlewając się razem, dają początek rzekom, stawom i jeziorom.

Oprócz *wody gruntowej* rozróżniamy jeszcze t. zw. wodę zaskórną. Jestto właściwie ta sama woda, tylko gorzej, bo przez cieńszą warstwę ziemi przesączona. Znacznie ją też płyciej napotykamy.

Nie przechodzimy na razie wartości poszczególnych gatunków wody, bo najprzód zapoznać się musimy nieco dokładniej ze znaczeniem wody dla naszego organizmu, oraz poznać te zalety, jakich żądamy od dobrej wody.

Dziecko każde, zapytane, odpowie bez zająknienia, do czego nam służy woda, bo ono czem innem pragnienia swego jeszcze nie zaspakaja, a i nakrzyczy się nieraz, gdy je przy pomocy mydła i gąbki, gwałtem przekonywują, że woda służy nietylko do picia. Zapotrzebowanie wody jest duże. Przypatrzmy się trochę liczbom.

Wody mamy wtedy dosyć, jeśli każdy człowiek może dla swojej osoby zużyć przez dobę 150 litrów, licząc w to skrapianie ulic, mycie podłóg, gotowanie itd. Na okrętach, gdzie słodka woda jest cennym przedmiotem, oblicza się, przy zaopatrywaniu okrętu w wodę, 4 litry na człowieka, jako najmniejszą ilość, potrzebną do gotowania i picia. W krajach w których zużywa się wodę dla przemysłu i fabryk, potrzeba do 200 litrów dziennie na człowieka, a nawet więcej. Najwięcej wody zużywają ludzie podług obliczenia, między 11 a 12 godziną w południe i 3 a 4 popołudniu.

Mógłby ktoś powiedzieć, że idealnie dobrej wody potrzeba tylko do picia, a więc względnie niedużą ilość, a do innych potrzeb obchodzić by się można wodą byle jaką. Nie można się na to zgodzić, jeśli sobie przypomnimy, że w wodzie tej t. zw. użytkowej, płucze się potrawy, jedzone na surowo, owoce, jarzyny itd., że myje się nią naczynia, szklanki i flaszki.

Dla zdrowia ludności w kraju jest rzeczą konieczną, aby wody było dosyć i aby była pod ręką. Łatwo to zrozumieć, że tam gdzie wodę trzeba konewkami na piętro wynosić, bardzo się z tą wodą ludzie oszczędnie obchodzą, a na tem cierpi czystość ich ciał i mieszkań. Przeciwnie tam, gdzie wystarczy odkręcić kurek od wodociągu aby mieć wody poddostatkiem, tam kwitnie czystość naczyń, mieszkania i ciała, a stan zdrowotny się podnosi.

Woda zatem w pierwszej linii służyć nam ma za napój. Człowiek potrzebuje do utrzymania swego zdrowia dość dużo wody, bo aż ponad dwa litry na dobę. Liczy się w to wodę wypitą jako taką, tudzież zawartą w potrawach, owocach etc. Woda stanowi główny składnik naszych soków i tkanek, woda wprowadzona wynagradza organizmowi straty, jakie ponosimy przez wydechanie wody płucami i parowanie jej skórą, woda rozpuszcza w sobie części rozpuszczalne pokarmów i roznosi je po organiźmie, woda wreszcie przyczynia się do regulacyi ciepła naszego ciała, parując mniej lub więcej, w miarę potrzeby. Człowiek każdy sam odczuwa potrzebę dostarczenia swemu organizmowi wody, czyli odczuwa *pragnienie*, dlatego z chorobami, wynikającymi z niedostatku wody, spotykamy się chyba w dalekich pustyniach, gdzie wody brak. Natomiast często się zdarza, że ludzie wprowadzają w swój organizm za duże ilości wody, a to ma pewne szkodliwe znaczenie. Nasamprzód, pijąc za dużo, rozrzedzamy soki trawienia a więc trawienie nie odbywa się z prawidłową szybkością i dokładnością; powtóre wielkie ilości wody, naraz wprowadzone, rozciągają swą ilością i ciężarem żołądek, a tem samem osłabiają jego zwykle ruchy i powodują przy dłuższem używaniu stałe rozszerzenie żołądka.

Nadmierne picie ma także niekorzystny wpływ na serce. Krew mianowicie ulega rozwodnieniu a serce musi silniej pracować, aby większą ilość krwi przez organizm przepędzać. To wszystko odnosi się nietyle do czystej wody, co do piwa, którego woda jest głównym składnikiem, bo mało jest ludzi zdrowych, którzyby pili więcej wody niż ich pragnienie tego wymaga. Należy jednak pamiętać, że ludzie mający skłonność do tycia, ludzie niedokrwni, słabi na żołądek i serce nie powinni wprowadzać zbyt wielkich ilości wody do swego organizmu.

Woda, wprowadzona do organizmu nawet w ilości niezbyt dużej, przecież może być szkodliwą. I tak, woda zawierać może dużo *części mineralnych*, np. wapna, czyli może być za twardą, a wtedy wprowadzić może zaburzenia w żołądku i kiszkach. Taką twardą wodę znają dobrze gospodynie i kucharki, gdy sody dodawać trzeba, aby groch w niej ugotować, a mydło to funtami całymi przy praniu się marnuje. Przeklinają ją także maszyniści, gdyż tworzy w kotłach parowych kamienne osady. Bardzo twardą wodę możemy nieco naprawić, jeśli dodamy trochę sody i gotujemy. Wtedy znaczna część połączeń mineralnych opada na dno.

Czasami woda zawiera *połączenia wprost trujące* jak *arszenik i ołów*. Zdarza się to tam, gdzie ścieki fabryk arszeniku lub farbiarni spływają do wody służącej na użytek ludzi. Ustawy takich rzeczy bardzo przestrzegają i zwykle po zbadaniu chemicznem zakazują używać takiej wody. Nawet ostrożność tę co do ołowiu dalej posuwają, gdyż zakazują używać rur czysto ołowianych do wodociągów i do syfonów z wodą sodową.

Nieraz się zdarza znaleść w wodzie *jajka i zarodniki soliterów* i innych ludzkich pasożytów.

Wreszcie, co najważniejsze, do wody spływać mogą zarazki różnych zakaźnych chorób. Jeśli np. studnia nie jest szczelnie zaopatrzona, to wszystkie nieczystości wylane w jej pobliżu, mogą przez szczeliny w ocembrowaniu dostać się do studni, a woda nimi zanieczyszczona może stać się rozsadnikiem istniejącej w domu zakaźnej choroby. Zdarzało się np., że naczynia na mleko, płukane wodą w domu gdzie panował tyfus albo dyfterya, stały się przyczyną nowych zachorowań.

Nie wystarczy, aby woda mająca służyć do picia była nie szkodliwą, musi ona mieć jeszcze inne zalety a mianowicie: musi być *bez woni, bez smaku*, (aby to dokładnie stwierdzić, ogrzewa się wodę i następnie próbuje, to smak w wodzie letniej wyraźniej wystąpi), *bez barwy i nie mętna*, bo w przeciwnym razie budzi wstręt i nie zachęca do picia.

Ciepłota wody ma się wahać między 7 a 11 stopni Celziusza. Woda cieplejsza jest niemiła i nie odświeża spragnionych ust, a zimniejsza «łupie» po zębach i sprawić może dolegliwości w żołądku.

Dr Jan Walkowski.

Z naszych stowarzyszeń.

Gregórzki. W niedzielę dnia 19 lutego odbyło się walne zgromadzenie członków Przyjaźni wraz z Radą gminną i naczelnikiem gminy, którego jednogłośnie wybrano przewodniczącym. Na wniosek przyj. Popiołka urządzono składkę na polską kapliczkę w Budapeszcie. Złożono kwotę 2 zlr. 85 ct. Wybory z powodu zapadającego zmroku odłożono na 26 z. m. — Przyj. Popiołek, pełniąc służbę w zakładzie naukowym SS. Urszulanek, zebrał między tamtejszą służbą na kaplicę polską w Budapeszcie 1 zlr. 85 ct. Byłoby pożądaną rzeczą, by p. Popiołek znalazł licznych naśladowców. *Przyjaźniak.*

Kraków dnia 8. marca.

Szanowna Redakcyo! Towarzystwo rękodzielnicze »Jutrzenki«, prosi o umieszczenie w »Łączności«, że w dniu 12 marca 1899 r. w lokalu swoim Krakowska 57, odbędzie się walne zgromadzenie o godz. 7 wieczór, z następującym programem; Zagajenie, sprawozdanie sekretarza, skarbnika i komisyi kontrolującej, wnioski i wybór nowego zarządu. Wrazie zaś braku kompletu, odbędzie się drugie zgromadzenie w ten sam dzień o godzinie 8 wieczór.

Z poważaniem

P. Makowiecki.

Co słychać u nas i zagranicą?

Obrady Sejmu trwają dalej. Skoro tylko zakończą się pozytywnymi rezultatami, nie omieszkamy umieścić o nich obszernego sprawozdania.

Ks. Stojałowski oskarżył redaktora *Dziennika polskiego* p. Ostaszewskiego-Barańskiego, redaktora *Przyjaciela ludu* Wysłoucha, redaktora *Kuryera lwowskiego* p. Rewakowicza, oraz redaktora *Przeglądu wszechpolskiego* dra Adama o zbrodnię oszczerstwa. Panowie ci zarzucili w swych pismach ks. Stojałowskiemu, że pisywał i utrzymywał stosunki z moskiewskiem pismem *Dniewnik warszawski*, zależnem zupełnie od jenerała moskiewskich żandarmów Broka, że obiecywał Brokowi założyć Kościół polski, niezależny od Rzymu, za co miał otrzymać biskupstwo w Częstochowej, że przemycał za pośrednictwem niejakiego Płazy pisemka swoje do Rosyi, że wogóle uprawia politykę niemoralną, że od notorycznych złodziei jak Kłosowski pobierał pieniądze, że że dla zaspokojenia swej ambicyi i chciwości gotów był sprzedać się komubądź i t. d. Niestety zarzuty te nie były bezpodstawne. Dr. Ostaszewski Barański udowadniał prawdziwość swych zarzutów oryginalnym listem ks. Sto ałowskiego do *Dniewnika* i listem jenerałowej Brokowej. Inni oskarżeni złożyli tak obciążające zeznania przeciw ks. Stojałowskiemu, że sędziowie przysięgli uwolnili ich wszystkich od winy, a ks. Posła skazali na ponoszenie kosztów sądowych. W czasie rozprawy wyszły na jaw takie brudy ks. Stojałowskiego, że nie chcąc rozmazywać błota pominąć je musimy milczeniem.

Stan zdrowia Papieża jest zupełnie zadowalniający. Telegramów kondolencyjnych nadesłano Ojcu św. kilkadziesiąt tysięcy. Szczególnie serdecznym był telegram cesarza Franciszka Józefa. Nasz monarcha przesłał Leonowi XIII. kwotę 20.000 fr. na budowę kaplicy w seminaryum duchownem w Tahtah w Egipcie.

We Francyi koło Tulonu nastąpił wybuch w magazynie prochu. Przeszło 70 osób zabitych, około 100 ciężko rannych. Na 4 kilometry wokoło wszystkie domy, drzewa i ogrodzenia zniszczone do szczętu. Rząd postanowił przyjść z pomocą ofiarom katastrofy sumą 200.000 fr. Prywatne składki wynoszą już przeszło pół miliona.

W Hiszpanii ministeryum Sagasty upadło. Nowy gabinet utworzył *Silvela*, katolicki konserwatysta.

Królowa belgijska ciężko zaniemogła. Stan jej jest beznadziejny.

W Egipcie wrze na nowo walka. Pobity niedawno kalif, oburzony wrzuceniem zwłok Mahdiego do Nilu, zebrał liczne wojsko i lada chwila Anglicy spodziewać się muszą ataku z jego strony.

Na Filipinach miała miejsce nowa potyczka. Obydwie strony poniosły ciężkie straty.

KRONIKA.

Rekolekcye dla dorosłych mężczyzn odbywać się będą w kościele św. Anny przez cały tydzień od dnia 12 b. m. (niedziela) o godz. 7 wieczorem. We czwartek odbędzie się spowiedź.

Statystyka pożarów w roku 1898. Wedle statystyki, zaprowadzonej przez krajowy Związek ochotniczych straży pożarnych, kraj nasz w roku 1898 nawiedziło 1.084 pożarów, które pochłonęły 2687 domów mieszkalnych, 3195 budynków gospodarczych, 19 zakładów przemysłowych, 3 kościoły i 14 ofiar w życiu ludzkiem. Ogólna szkoda, przez pożary te zrządzona wynosi 3,227.304 zł. z których ubezpieczeń było na 1,549.374 złr. Przyczyną powstania tych pożarów było w 148 wypadkach podpalenie, w 192 nieostrożność, w 54 wadliwa budowa, w 28 wy-

padkach powstał pożar od pioruna, a w 662 wypadkach przyczyny nie zbadano.

W braterskim uścisku złączeni przechadzali się razem Franciszek B. kolporter i Józef B., czeladnik stolarski we Lwowie. Franciszek pragnął rozrywki, a Józef postanowił dotrzymać towarzystwa przyjacielowi. Franciszek miał przy sobie pieniądze, tuzin chusteczek, które kupił świeżo od handelesa, oraz parę nowych szelek. Józef nie miał ani grosza, zamiast szelek używał paska, w kieszeni zaś «dzierżył» od wypadku jedną, podejrzanej do tego, czystości chusteczkę.

Jedno mieli wspólne: pragnienie i gasili je w każdym przydrożnym szynku, dopóki los nie ulokował ich w końcu w «knajpie» przy ulicy Zimorowicza.

Tu Franciszka opadł dzielny Morfeusz i po krótkiej walce zwyciężył.

Józef skorzystał ze snu towarzysza. Zabrał mu z kieszeni 35 zlr., odebrał chusteczki i szelki i poszedł szukać innych kompanionów. Znalazł ich widocznie, bo gdy na skargę Franciszka w kilka godzin później przyaresztowali agenci policyjni — znaleziono przy nim już tylko 15 zlr., z chusteczek zaś i szelek ani śladu.

Z mętów społecznych. Pan Teofil S. we Lwowie był kalkulantem w jednym z pierwszorzędnych politycznych urzędów. Jakkolwiek żonaty, — porzucił swą żonę, aby «uszczęśliwić» sobą inną kobietę.

Zasmakowawszy w życiu lekkomyślnem, popadł w długi lichwiarskie, do których używał weksli niezawsze opatrywanych autentycznymi podpisami.

Sześć miesięcy temu utracił posadę i rozpoczął życie prawdziwego «niebieskiego ptaka».

Krótko ono trwało niestety, na żądanie bowiem prokuratoryi policya aresztowała go i odstawiła do sądu karnego, gdzie będzie odpowiadać za rozmaite swe sprawki.

Beczułkę moskali na czas wielkopostny kupił sobie jakiś jegomość i szedł sobie spokojnie ulicą Gródecką. Nabytek ten wzbudził pewne podejrzenie u stójkowego. Przytrzymał amatora moskali i zapytał, skąd pochodzi brzemię, które niesie. W odpowiedzi nieznajomy zostawił policyantowi beczułkę, sam zaś umknął.

Czterech złodziei. W pewnej restauracyi we Lwowie czterej elegancko ubrani jegomoście między nimi jeden żołnierz 30 pp. swobodnie zabawiali się grą w bilard. Nagle do restauracyi wszedł agent policyjny Przestrzelski i samem swojem zjawieniem się wywołał panikę wśród wesołych gości.

«Bądź blat» — «Nie graj kuca!» — szeptali pomiędzy sobą, lecz wszyscy mimo tego «grali» porządnego «kuca» (bali się). Agent wyszedł, po chwili zaś wrócił z żołnierzami policyjnymi i lokal restauracyjny opróżnił się wnet o czterech gości.

Aresztowani są to znani i niebezpieczni złodzieje, szczególnie zaś jeden Stefcio Chyliński słynie, jako pierwszorzędny «włamywacz». Niejednokrotnie wymykał się on z pod palców władzy, dwa razy pobił nawet agentów policyjnych, którzy go chcieli aresztować. Przestrzelski tym razem wziął «Stefcia» tylko podstępem, bez awantury, przyrzekł mu bowiem, że zaraz z inspekcyi policyjnej puści go na wolną stopę. Naturalnie przyrzeczenia nie dotrzymał.

Krwawa utarczka z złodziejem. Jeden z okolicznych wieśniaków, wracając niedawno wieczorem ze Lwowa, poznał w szynkowni za rogatką Żółkiewską złodzieja, znanego policyi lwowskiej Grzegorza Macibucha, ucztującego z żoną swą za pieniądze, uzyskane z sprzedaży skradzionych wieśniakom kożuchów.

Pokrzywdzony wrócił do miasta i wezwał pomocy policyi w ekspozyturze na Żółkiewskiej. Gdy policyant wszedł do szynkowni i przyaresztował wskazanych przez wieśniaka, oboje się rzucili natychmiast i poczęli go bić i tracać tak, iż policyant musiał dobyć szabli i ciąć nią w głowę i obie ręce roznamiętnionego złodzieja. Policyant towi przyszła z pomocą publiczność, która z trudem zdołała ubezwładnić waleczną parę złodziei.

W pogoni za synem zgłosił się we Lwowie na inspekcyę policyjną J. Goldenberg, rytualny rzeźnik z Watry Mołdawnej w pow. Kimpolung na Bukowinie. Synalek jego Mojżesz Józef dwojga imion Goldenberg zabrał mu jeszcze 16 b. m. 800 zlr. i umknął prawdopodobnie do Ameryki. Stroskany po stracie pieniędzy, ojciec prosił policyę o rozesłanie telegramów gończych w kierunku Bremy, Hamburga i Rotterdamu. Nie żąda ukarania syna, tylko zwrotu uciułanego latami grosza.

Niedoszłe samobójstwo. Julia Lesek 25 lat licząca, rodem z Sądowej-Wiszni zmuszona była potrzebą i stosunkami rodzinnymi wyjechać do Lwowa, celem szukania służby. Rozstanie z miejscem rodzinnem było bolesne, tembardziej, że posiadała tam narzeczonego w osobie młodego czeladnika szewskiego, który zaręczał, iż ożeni się z nią, skoro tylko warsztat własny otworzy, na razie zaś ofiarował się towarzyszyć swej lubej do Lwowa.

W drodze powzięła Julia rozpaczliwy zamiar otrucia i począwszy wypytywać narzeczonego o rodzaje istniejących trucizn, wybrała najlżejszą», to jest atrament!

Po przybyciu do miasta około 7 wieczorem, zakupiła całą flaszkę «zabójczego płynu», wypiła odrazu, mimo, iż strasznie jej nie smakował, a czując się nie dobrze, położyła się na placu Maryackim, oczekując pewnej a lekkiej śmierci.

Zamiast jednak oczekiwanej śmierci, zjawił się policyant i dowiedziawszy się o «otruciu», wezwał pogotowie towarzystwa ratunkowego.

Przywieziono niedoszłą samobójczynię do lokalu towarzystwa, gdzie jej niemiłosiernie za pomocą pompy wypłukał lekarz żołądek.

Niedoszłej samobójczyni nie grozi żadne niebezpieczeństwo, lekarz zaręczył, iż «złowrogie czarne plamy» na twarzy i ustach po użyciu mydła można uleczyć radykalnie, policya zaś dla braku przytułku umieściła ją na razie w swych apartamentach przy ulicy Słonecznej, gdzie się niezawodnie i rany serca zagoją.

Najlepiej z całej afery wyszły kumoszki brukowe, szerząc cały wieczór sensacyjne wieści o dokonem samobójstwie z «miłości».

W Stanisławowie rozegrał się przed ławą przysięgłych jeden z dramatów życiowych, smutkiem ściskających serce i zmuszających do poważnych refleksyj, bo tematem jego jest odwieczne prawo do życia i walka o byt.

Oskarżoną była Oleksa Podwysocka, 20-kilkoletnia kobieta, rodem z Buczacza, istny obraz nędzy i ruiny kobiety. Przed kilku laty, kiedy miała koralowe usta i błyszczące szczęściem oczy, uwiódł ją jakiś wioskowy donżuan i porzucił. Ojcowie umarli a bracia z chaty wygnali i z ziemi wyzuli. Poszła, wiodąc dziecko pomiędzy ludzi, z trudem na chleb zapracowując.

Grzechu jednak jednego mało, mało i za niego będzie pokuty. W czasie tej tułaczki ujrzało światło dzienne i drugie biedactwo. Z dwojgiem zatem poszła nędzarka w świat pracy szukać i chleba — a gdy ani jednej ani drugiego znaleźć nie mogła, ratując siebie i starsze dziecko od głodowej śmierci, niemowlę w głębiach Strypy utopiła, oszczędzając mu także głodowych cierpień i ciężkiego konania.

Kiedy podsądna o losach swoich w sposób prosty a tak wymowny opowiadała, nie było nikogo w sali, ktoby łez w oczach nie miał. W warunkach takich i oskarżenie, które wygłosił z urzędu swojego prokurator p. Kilian, było w połowie jakby obroną. Działała pod nieodpornym przymusem. Werdykt przysięgłych brzmiał uwalniająco, a za inicyatywą przewodniczącego rozprawy p. radcy Fangora, zebrało się w sali trochę grosza dla zapewnienia w kilku pierwszych dniach życia tej prawdziwej proletaryuszce.

Jaskinię gry w Ostendzie wydzierżawił od Rady gminnej p. de Caters za *półtora miliona* franków. Przepłacając radnych miasta, de Caters płacił za jeden głos dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Bandyta, Giacomo Pietri, dostał się w ręce żandarmów. Ciąży na nim kilka morderstw, zwyczajnie popełnianych na ludziach biednych. Ostatniemi czasy zamordował dziewczynkę, która wybrała się szukać górskich kwiatów. Widok krwi sprawia szczególną przyjemność temu tygrysowi w ludzkiej skórze.

Żarłok. We wsi Ł. koło Żywca znajduje się żebrak, który jest w stanie zjeść na śniadanie bochenek chleba za 20 cnt. a w trzy godziny później sprzątnąć kolosalną miskę ziemniaków. Pod względem napojów pojemność żołądka tego biedaka wcale nie jest mniejsza. Na brak apetytu jeszcze się nigdy nie skarżył.

Zamordowanie żony. Jan Neubauer, Niemiec, zamordował swoją żonę na polu roztrzaskawszy jej czaszkę kamieni i zgniótłszy jej klatkę piersiową uderzeniami pięt i kolan. Sąd przysięgłych uznał Niemca winnym zbrodni morderstwa, a Trybunał wymierzył mu karę śmierci przez powieszenie.

Gracz w karty Jhon Crosley wygrał w Ceylonie w jakiejś szulerni 130.000 franków. Na drugi dzień znaleziono go trupem. Apopleksya zabiła w nocy szczęśliwego gracza, pozbawiając go możności skorzystania z wygranej.

Nieuleczalny trąd. W Karnawale b. r. zaszedł w Rydze tragiczny wypadek. Baronównę S., błyszczącą dowcipem, inteligencyą i pięknością zaprosił do tańca na balu obecny doktor medycyny. Gdy baronówna obiecała mu następnego walca, lekarz odprowadził na bok olśniewającą piękność i tam oświadcza jej obcesowo, że nie będzie z nią tańczył, tylko pragnąłby się dowiedzieć, czy tancerka ma na całem ciele te różowe plamy, które widać na jej szyi. Baronówna zapytanie potwierdziła. «Niech pani natychmiast opuści salę» — decyduje stanowczym głosem dziwaczny lekarz. Płacząc opowiedziała baronówna tę scenę swemu ojcu, który pełen oburzenia na «zwarjowanego pedanta» odwiózł córkę do domu. Na drugi dzień w mieszkaniu barona zjawia się doktor z kilku kolegami. — «Czego pan sobie życzysz?» — zapytuje zdziwiony ojciec. «Pragnę zbadać stan fizyczny Pańskiej córki i dlatego przyprowadziłem mych kolegów». — «Co to ma znaczyć? Czego panowie chcą? Co jest mej córce?» «Panie, pańska córka ma najstraszliwszą chorobę, nieuleczalny trąd». — Po zbadaniu okazała się prawdziwość twierdzenia lekarza.

Samobójstwo. W Nitra na Węgrzech urządziło tamtejsze stowarzyszenie wieczorek z tańcami na zakończenie karnawału. Podczas wieczorku zjawił się w sali balowej porucznik huzarów Wilhelm Ferency i w kłótni uderzył arażera tańców, niejakiego pana Folnera. Folner nie został dłużnym i nawzajem uderzył w twarz napastnika. Porucznik oddalił się z sali balowej, udał do koszar i tam wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia.

Olbrzymi zegar elektryczny, którego tarcza ma 6½ metra średnicy, a mała wskazówka waży 70 kilogramów, ustawiono w ubiegłym roku na dworcu kolei żelaznej na Liverpool Street w Londynie. Zegar ten, zostający w związku z 624 zegarami kolei żelaznej, jest tak dokładny że przez pół roku nie chybił ani o pięćsetną część sekundy.

Milion funtów herbaty, oraz znaczne zapasy wina i spirytusu spłonęły w jednym z magazynów w Melbourne w Australii.

Za skradzionego całusa zasądzony został młodociany Higgings w Edymburgu na dwa tygodnie więzienia. U nas żadna z cór Ewy nie fatygowałaby się ze skargą na tego rodzaju złodzieja.

Eksplodujące papierosy. *Wiener Abendblatt* donosi z Rovigno, że eksplodował tam papieros «Drama», palony przez pewnego pomocnika fryzyerskiego. Wskutek tego skonfiskowano papierosy tej kategoryi na całem Pobrzeżu, a z nowych tylko te papierosy «Drama» oddane będą do użytku publiczności, które nie pochodzą z fabryk w Rovigno i w Lublanie. Stwierdzono jednak, że pomocnik fryzyerski sam włożył końce zapałek eksplodujących do papierosa. Znajduje się on obecnie w areszcie.

Ogłoszenia.

Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie — Redaktor odpowiedzialny: Józef Ligęza — Wydawca: Antoni Stróżyński.